

Kronika tygodniowa.

Więc nareszcie skończyły się mokre wakacje, a rozpoczyna się rok szkolny 1914 a z nim jesień, która, oby była suchą i pogodną.

Kraków zaroił się od przejezdnych i powracających do domowych pieleszy letników, którzy ogromnie są zdziwieni, nie mogą bowiem poznać miasta, choć je nie tak dawno opuścili. Dostęp do Rynku od dworca kolejowego po prostu zamknięty, chcąc się dostać w Śródmieście, trzeba nałożyć drogi prawie w dwójnasób.

Pan Strachajło ze Lwowa, który w tym właśnie czasie bawił nad Wisłą, był najmocniej przekonany, że są to barykady, urządzone na przyjęcie jakichś nieproszonych gości. Ledwie udało mi się wytłumaczyć mu, że są to dzieła pokoju, nie wojny i to pokoju niezbrojnego, gdyż ulice rozkopano tylko w tym celu, by poprowadzić kanały, potem położyć betony, na nich zaś linię tramwajową o szerokim torze.

Chwalebna i uznania godna jest gospodarka miejska w tym kierunku. Dotąd ziemne roboty zaczynało u nas zwykle od góry, w tym wypadku odstąpiono od reguły. Dawniej asfaltowano ulice, potem przypominano sobie, że pod spodem niema jeszcze kanału, zdzierano więc to, co już zrobiono i zaczynało *ab ovo*. Teraz wprowadzono racjonalny porządek i pracę od dołu do góry.

Rozkopane ulice przedstawiają widok, boleścią serce przejmujący. Najbardziej rozpaczają przekupki, sromotnie wypędzone z Małego Rynku, gdzie od tylu lat urzędowały za średniowiecznymi straganami, ostatnio pod nowoczesnymi parasolami.

I tutaj wkradła się nowa moda. Można powiedzieć, że Kraków europeizuje się gwałtownie. Widzimy coraz częściej młodzieńców bez kapeluszy, z obnażonymi szyjami, na Podgórzu jakiś propagator higienicznego życia wybrał się nawet na przechadzkę w stroju najzupełniej Adamowym, niestety, policja okazała się, jak zwykle, niegrzeczną i nie zgodziła się na wprowadzenie tego rodzaju innowacji, powiedzmy, bardzo przeciw praktycznej, zwłaszcza na te ciężkie czasy.

W ten sposób zbliża się człowiek do przyrody i do owych szczęśliwych dni, jakie pradziadek nasz Adam spędzał z prababką Ewą w biblijnym raju, próżen trosk i kłopotów, małżonka bowiem nie suszyła mu głowy prośbą o nową toaletę, kontentując się, co najwyżej listkiem figi, czy łopuchu, nie ulegającym kaprysom i grymasom wszechwładnej dziś mody.

Bardzo żałuję, że wilgotna aura nie pozwoliła dotąd płci nadobnej na zaprodukowanie nam nowych damskich toalet, tak zwanych „röntgenowskich“, przypominających bardzo owe czasy, które nastąpiły bezpośrednio po stworzeniu świata. Kto wie, czy je już ujrzymy, w przyszłym roku wyjdą napewno z mody.

Otworzy się z początkiem września gościnne podwoje szkół ludowych i średnich, napływ młodzieży, żadnej wiedzy, jest, jak mnie zapewniano, większy, niż po inne lata. Daje się również zauważyć objaw, o którym niedawno wspominałem, że gimnazya są przepełnione, w szkołach realnych natomiast frekwencja stale się zmniejsza. Szczyt szczęścia widzą rodzice w karierze urzędniczej swych dzieci, zawody praktyczne ciągle im jeszcze nie przemawiają do serca.

Objaw to bardzo a bardzo niepokojący!

Dla kupców wszelakiego rodzaju zniwo. Taty i mamy uwijają się po mieście, by zaopatrzyć swe pociechy w różne utensylia, szukają „stancji“ z „ojcowską“ opieką. Część inseratowa dzienników zapchana ogłoszeniami: „Przyjmę na stancję dwu chłopców z lepszych domów, zapewniając im wszystkie potrzeby...“, „Panienki zamożniejsze znajdują umieszczenie u poważnej wdowy po wyższym urzędniku. Fortepian (n. b. rozstrojony!) w domu. Na żądanie konwersacja francuska za osobną dopłatą“.

Wyrobiła się w tym kierunku ogromna konkurencja. Wiele rodzin utrzymuje się z przyjmowania młodzieży na stancję, ponieważ zaś robi to jedynie dla interesu, dlatego też młodzież sama bardzo źle na tem wychodzi. Zapewnia się jej „potrzeby“, ale nic więcej, na różne młodociane wybryki, patrzy się przez palce, chłopiec bowiem, zwłaszcza majątniejszy, nie wróciłby w przyszłym roku na taką stancję, gdzie go dość ostro trzymano. A takiego szkoda przecież stracić, bo teraz takie ciężkie czasy...

A będą one jeszcze cięższe, tak przynajmniej wszyscy nas zapewniają.

Uważam to za jedną z zapowiedzi końca świata, który coraz bardziej się zbliża.

Kurier ilustrowany, w osobnym artykule, zatytułowanym „Złowroźne znaki na ziemi i niebie“, przepowiada różne okropności, które bardzo łatwo można uznać za zwiastuny owego zbliżającego się nieszczęścia...

Zastrzegam się jednak, że autorami owych przepowiedni są nasi górale, którzy w ostatnich dwu latach zblamowali się ogromnie swemi prorocztwami, zwłaszcza, co się tyczy pogody, można im więc i teraz ze spokojnem sercem nie wierzyć.

Zaraz pierwsza opowieść brzmi ogromnie fantastycznie.

Kosiarze, wracający z Węgier, przynieśli stamtąd wiadomości, że kiedyś w nocy jakieś lichy złapało za kark stróża nocnego (przysięgał się, że wódki, rumu, ani piwa nie miał od roku w ustach!) i zawiodło go na cmentarz, gdzie wskazało mu trzy otwarte groby. Jeden był pełny wody, drugi krwi, w trzecim było tak sucho, że się zeń aż kurzyło, nieprzymierzając, jak na ulicach Krakowa w dzień pogodny.

Te groby mają być symbolami lat: 1913, 1914 i 1915, czyli, innemi mówiąc słowy, po bieżącym, mokrym roku, czeka nas ogromna wojna, za dwa lata zaś posucha.

Opowieści tego rodzaju kursują stale między ludem, o zupełnie podobnej wspominałem już w kronice, jeśli się nie mylę, przed dwoma laty.

Znalazł się potem gazda, podobno bardzo poważny i także eleuteryk, który w czasie oberwania chmury widział ogromnego smoka, przelatującego nad polami i lasami i wywijającego z wściekłością ogonem. Ma on swą stałą kwaterę na Spiżu, we wsi Jarzębinie, skoro się zaś z niej na światło dzienne wydostanie, na świecie musi być ogromne zniszczenie. Za dotknięciem jego ogona ziemia rozsypuje się, jak piasek wiatrem zerwany.

Z tą apokaliptyczną bestyją łatwo sobie chyba dać radę. Powinno się zorganizować wyprawę ratunkową, dopaść go i uciąć mu bodaj ogon. W ten sposób uczyni się go nieszkodliwym.

Inny znowu miał sposobność obserwować w pewną jasną noc lipcową, groby wisielców w lesie i widział na własne oczy, że się ruszały, a ogień z nich buchał! Od niego zapalił nawet raz fajkę i ogromnie źle mu się zrobiło. Jest to niechybny znak, że przyjdzie straszna choroba, skutkiem której, tak przynajmniej twierdzi *Kuryerek*, ludzie będą ginęli „jak mnichy...“. Sądziłbym, że może „jak muchy“.

Ostatni wreszcie spotkał się na stoku góry, zwanej „Kocim zamkiem“, z wężem ognistym, z grzywą końską i kogucim grzebieniem na głowie... Ten łajdak jest zwiastunem pożarów. Widziano go w r. 1879. w tem samym miejscu i zaraz potem spaliła się Piwniczna...

Gdyby to taką bestyję można dostać do panopticonu, dopiero byłaby to nielada atrakcja!...

Tyle i takich okropności dowiedzieliśmy się za sześć halerzy z jednego jedyne numeru *Kuryerka*, jeśli się więc spełni bodaj połowa ich, koniec świata prawie pewny, wyraźnie bowiem czytamy w *Piśmie św.* „iż wówczas widzialne będą znaki na ziemi i na niebie“...

Czekajmy tylko, rychło ukaże się Antychryst na wozie ognistym, najprawdopodobniej na automobilu, wynalezionym także na utrapienie chodzącej piechotą ludności.

Ze zdarzeń politycznych ubiegłego tygodnia, należy przedewszystkiem na dwa zwrócić specjalną uwagę. Mam na myśli wizytę cesarza Wilhelma z małżonką w Poznaniu i zjazd posłów ludowych w Krakowie.

Cesarz niemiecki nie opuszcza z zasady żadnej uroczystości, podczas której możnaby wygłosić przemowę do narodu, pospieszył też nad Wartę z okazji poświęcenia przenicowanego poznańskiego ratusza i kaplicy protestanckiej w królewskim zamku.

Tym razem zachowywał się wcale spokojnie i, jak twierdzą pisma berlińskie, „unikął ostrych wyrażań wobec Polaków, co miałoby oznaczać zamiar podania ręki do zgody“.

Zgodę tę pojmują jednak Prusacy po swojemu, chcą być i nadal stroną zdzierającą z nas skórę, wymagają jednak, byśmy cicho siedzieli.

Częściowo udaje im się to, na zamek poznański pospieszyli przecież całe szeregi polskiego obywatelstwa, by ucałować prawicę koronowanego *Kulturträger*a, który nie zapomniał wezwać ludność bez różnicy narodowości i wyznania, aby sobie przyswajała kulturę pruską.

Większość narodu zapatruje się inaczej na tę sprawę, dowodem tego niezbyt miła owacya, jaką w Poznaniu urządzono ugodowcom.

Drugim politycznym zdarzeniem to zjazd prawie pełnego kompletu posłów ludowych, tak parla-

mentarnych, jak i sejmowych, pod przewodnictwem prezesa Stapińskiego, a przy uczestnictwie ministra Długosza.

W sprawie stosunku do rządu podniosły się zarzuty, że dopuścił on do rozbicia się kompromisu w sprawie reformy wyborczej i że przy ostatnich wyborach zachował się nieprzychylnie wobec kandydatów P. S. L., po wyborach zaś szykanuje nauczycieli ludowców. Wobec tego stronnictwo gotowe jest przejść do ostrej opozycji względem rządu centralnego.

Aniołem pokoju był, jak zwykle, ekscellencya Długosz. Zapewnił on, że rząd centralny nie popierał tych kroków rządu krajowego i potrafił do tego stopnia uspokoić wzburzone umysły, iż na razie ograniczono się do wyrażenia niezadowolenia tylko rządowi krajowemu. Ponadto wybrano delegację, która pojedzie do Wiednia, by się poskarżyć hr. Stürgkhowi i żądać pociągnięcia winnych do odpowiedzialności.

Jeśli to się nie stanie, wojna z rządem na całej linii.

Omawiano także i wiele innych spraw, między innemi kanadyjską, zakończono zaś wyrażeniem zupełnego zaufania tak prezesowi Stapińskiemu, jak i ministrowi Długoszowi.

Od siebie dodam dwie uwagi.

Po pierwsze, nie podoba mi się bardzo, że nauczycielstwo ludowe wciąga się w wir walki wyborczej, gdyż to nie odpowiada jego posłannictwu kulturalnemu, zwłaszcza, że u nas nie potrafi się w niczem zachować miary. Z kilku stron dochodziły wieści, że nauczyciele, należący do stronnictwa ludowego przebrali trochę miarkę w agitacji, wobec czego Rada Szkolna krajowa widziała się zmuszoną dla świętego spokoju w gminie poprzepchnąć ich w inne strony, gdzie dalej będą mogli być pionierami idei ludowcowych.

Po drugie znów, nie powinien pan prezes gniewać się na tych, którzy go zwalczały, gdyż i jego stronnicy, a nawet on sam, podczas wyborów inaczej nie postępują. Przypominam tylko wybór z okręgu Podgórze-Wieliczka, który pan Jan ofiarował swemu przyjacielowi Skołyśzewskiemu. Wbrew woli dyktatora pozwolił sobie na postawienie tam kandydatury inny ludowiec, także przyjaciel pana Stapińskiego, adwokat krakowski, dr. Eardel.

Pana Jana rozgniewało to, rzecz prosta, starał się też wszelkimi siłami utracić nieposłuszną owieczkę, ale mu się nie udało. Posłem został dr. Bardel i był do tego stopnia lojalnym wobec swego stronnictwa, że pozostał mu wiernym, choć nabyte doświadczenie powinno go było do niego stanowczo zniechęcić.

Zamiast się gniewać, oddajmy tę sprawę pod rozstrzygnięcie trybunałowi pokojowemu w Hadze, który urzęduje już w nowym pałacu, ufundowanym przez amerykańskiego miliardera Carnegie'ego. Z okazji otwarcia i zagajenia kongresu pokojowego, holenderski prezydent ministrów wygłosił przemowę, w której dał wyraz uznania dla polityki hr. Berchtolda, oświadczył bowiem, że jest on jednym z tych, których nazwiska powinny tutaj być wypisane złotem i głoskami.

Ja mam jeszcze jednego kandydata do takiego odznaczenia. Jest nim naturalnie ekscellencya Długosz. Dzięki jego obiadom parlamentarnym i ministeryalnemu niejedna już sprawa, zakończyła się pokojowo.

IKA-ABADIE

TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek - farbowych, wyłącznie we fabrykach

„Société Abadie w Paryżu“

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.

Jak uzyskać piękną cerę? To pytanie zostało rozwiązane w sposób pojedynczy przez Instytut physioplastyczny w Paryżu, wprowadzając w obrót handlowy preparat do mycia twarzy zamiast mydła, pod nazwą „Lactol“, który usuwa wszelkie nieczystości skóry, gładzi zmarszczki, bieli i wygładza cerę. „Lactol“ sprzedaje się **tylko** w pudełkach z etykietą niebieską z dwoma główkami w cenie K 2— i jest wszędzie do nabycia.

Reprezentant na Austrię: **Mr. Leszek Śladowski, Lwów.**